

PRACA nad sobą

APERIODYK MARIAWICKI
Zeszyt 57 Kraków, luty 2010 r.

WINO - POSTAĆ EUCHARYSTYCZNA

Wszystkie dotąd poznane poza Ziemią ciała niebieskie Układu Słonecznego wydają się nam martwe, jakieś „twarde” i nieprzystępne dla nas. Wprawdzie na niektórych z nich istnieją piękne okolice ciekawe minerały, wieją wiatry, powstają ciekawe kształty obłoków, ale brak tego co nadaje ziemskiemu krajobrazowi miękkość, żywość - brak przystępnej dla zmysłów roślinności. O „życiu” kryształów, prądów cieczy i gazów potrafimy mówić w przenośni, Dopiero rośliny postrzegamy jako istoty istotnie żywe. Wiedza akademicka nie potrafi właściwie określić czym jest życie. Dla człowieka odczuwającego światy wyższe życie jest pewnego rodzaju gościem ze świata duchowego, a rośliny posłańcami tego świata, stanowiącymi podstawę dla rozwoju wszelkiego innego życia w świecie fizycznym. Różne rośliny przedstawiają różne aspekty duchowości. Najłatwiej można to dostrzec w roślinach jadalnych i leczniczych dających różne impulsy zwierzętom i ludziom.

Syn Boży jest najwyższym duchem goszczącym w fizyczności. Zostawiając na Ziemi swe Ciało i Krew tym, którzy Go wyznają, użył do tego produktów roślinnych symbolizujących

ważne aspekty duchowości. W zeszycie 56 „Pracy” pisałem o treściach postaci chleba otrzymywanego z ziaren zboża, które są symbolem rodzicielskiego poświęcenia dla przyszłości. Teraz wypada mi omówić symbolikę winogron i otrzymywanego z nich napoju.

Chrystus zstąpił na Ziemię, aby nadać właściwą wartość bytowi materialnemu, w pierw albo lekceważonemu (Hindusi traktowali fizyczność, jako pozór, jako „maję” wobec jedynie rzeczywistego bytu ducha), albo przecenianemu (Grecy uważali, że bytowanie poza materia jest tylko cieniem bytowania). Bóg-Chrystus całkowicie „zanurzył” się w materię stając się prawdziwie ziemskim Człowiekiem, przyjmując wszystkie cechy człowieczeństwa. Odtąd - gdy w niej zamieszkał Sam Bóg - materia nabrała realnej wartości. I tu widzimy już symbolizm wina. Wśród roślin właśnie winorośl ma tę dziwną cechę, że się najściślej „zanurza” w mineralne środowisko, jednoczy się z własnościami gleby. Smak napoju z jej owoców zależy nie tylko od własności gatunkowych ale też od gleby na której rośnie. Znawca win potrafi po smaku odróżnić identycznie wyprodukowane wina z dwu pobliskich dolin. Sok winny jest bardziej nasycony ziemskimi minerałami (kamień winny w beczkach !) niż inne owocowe soki.

Przed Chrystusem indywidualna jaźń ludzka skażona grzechem pierwotnym przeszkadzała w duchowym rozwoju. Dążący do doskonałości Egipcjanie starali się wyzbyć cech jaźniowych „roztopić” się w duchowości. To samo czynili dążący do świętości żydowscy nazarejczycy. Chrystus umożliwił uzdrowienie jądra nieśmiertelnej duszy ludzkiej - jaźni. Odtąd może ona współdziałać z człowiekiem w jego doskonaleniu wewnętrznym. Moszcz winny ma działanie oddzielające człowieka od jego otoczenia, wyodrębnia człowieka jako osobę, pomaga mu stać się czymś „osobnym”. Daje podstawę do wytworzenia sobie zespołu osobistych uczuć i odczuć w stosunku do świata zewnętrznego. Moszcz sfermentowany alkoholowo, zwany właśnie popularnie winem, czyni to jeszcze silniej. Łatwo o nadużycie tej własności wina.

Celem ewolucji ziemskiej jest dopracowanie się miłości. Rozwinąć pełnię miłości może tylko istota całkowicie indywidualna sama odpowiadająca za swoje postępy, nie ulegająca obcym nakazom, podszeptom, sugestiom. Taką indywidualność człowiek może uzyskać tylko tu, w życiu ziemskim. Dlatego rodzimy się i kształtujemy na ziemi, w świecie materialnym. Żeby dopiąć ideału, miłości, trzeba się istotnie, całkowicie wcielić na Ziemi. (Niebo - to miejsce czasowego odpoczynku po ziemskich wysiłkach.) Ale nasz zindywidualizowany ziemski rozwój może pójść w różnym kierunku. Tylko Chrystus potrafi mu wytyczyć właściwy kierunek. Kto pod Jego kierunkiem wykona właściwy wysiłek, będzie mógł się cieszyć dalszym cielesnym (wspanialszym od obecnego) bytem w powszechnym zmartwychwstaniu.

W Starym Testamencie nazarejczycy wstrzymywali się od picia wina - również soku winnego. W Nowym wino stało się zaleconym liturgicznym napojem dla powołanych do współpracy z Chrystusem¹. Tak jak subtelna jest sprawa rozwoju ludzkiej indywidualności aby ona pomagała, a nie przeszkadzała w drodze do celów wytkniętych ludzkości przez Boga, tak subtelna jest sprawa użycia wina przez chrześcijan. W historii chrześcijaństwa wśród skrajnych, przesadnych tendencji można tu znaleźć zarówno zakaz udzielania wiernym nie należącym do kleru Komunii Świętej pod postacią wina, jak i ustawy zakonne nakazujące mnichowi wypijać kilka szklanek wina dziennie.

Wybitnym indywidualistą był święty Jan. Jego Ewangelia jest napisana odmiennie od pozostałych Ewangelii. Chrystus obdarzył go losem różnym od losu pozostałych apostołów². Warto tu wspomnieć o zanikającym prawie zupełnie zwyczaju picia "wina janowego" w dniu tego apostoła, 27 grudnia, czyli w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia. Dziś picie z jednego kielicha odczuwane jest jako niekulturalne i niehigieniczne. Dawniej po Mszy Świętej wierni pili tego dnia po kolei z jednego kielicha pobłogosławione wino, Czytano przed tym modlitwę wspominającą, że świętemu Janowi Ewangelicie nie zaszkodziła podana trucizna. Tak, wszelki indywidualizm bywa

trucizną, ale nie szkodzi on tym, co indywidualnie umieją przyjąć Chrystusa, aby się móc sprzeciwić tłumnej bezmyślności. W tym kościelnym zwyczaju uzewnętrznił wyrażnie ważne znaczenie rozwojowe, ale i niebezpieczeństwo indywidualizmu symbolizowanego przez wino.

Obie postacie eucharystyczne są roślinne. Pierwsza (chleb) symbolizuje bezkompromisowe dążenie ku przyszłości³. Druga (wino) kształtowanie indywidualnego zespołu uczuć w stosunku do innych stworzeń. Z trzech elementów ludzkiej świadomości, mamy więc w postaciach eucharystycznych usymbolizowane dwie: wolę i uczucie. A gdzie trzecia - rozum? Tej trzeba poszukać poza Eucharystią. Rozum, mądrość symbolizuje oliwa. Znajdziemy ją w innych sakramentach.

W Eucharystii Chrystus Sam daje Siebie swym uczniom wzywając aby za jego przykładem rozniecali w sobie z siłą woli miłość do wszystkich stworzeń. I dlatego święty Franciszek, „ekolog” z Asyżu jest nazwany tym, który najdokładniej naśladował Chrystusa (*Początek zawiązku* akapit 15 i *Pierwotny tekst* 18. *Dzieło Miłosierdzia* ss. 13 i 124.)

Brat Paweł

¹ W tym artykule nie chcę roztrząsać problemu, czy apostołowie używali do pierwszych obrzędów mszalnych moszczu winnego, czy wina sfermentowanego alkoholowo. Z wersetu 13. rozdziału 2. *Dziejów Apostolskich* gdzie się szyderczo mówi o pijanych moszczem, można wyciągnąć wniosek, że było wiadomo powszechnie, iż apostołowie dzielący pomieszczenia z abstynenckimi esseńczykami stronili od wina alkoholowo sfermentowanego. Inni jednak uważają, że wyrażenie „pijani moszczem” było potocznym dowcipnym określeniem. W każdym razie od niepamiętnych stuleci w krajach, gdzie wino owocuje kilka razy w roku, w niektórych obrządkach wyciska się wprost z winogron sok do mszalnego kielicha, zaś w krajach zimnych - powszechne jest stosowanie wina sfermentowanego alkoholowo. Dziś we wszystkich klimatach sok winny jest dostępny i na przykład duchowni będący na odwyku alkoholowym używają wyłącznie bezalkoholowej postaci wina. Nie sfermentowanego soku używa się też w pewnych nowych lub zmodyfikowanych obrządkach. Liturgiczny aspekt moszczu winnego w stosunku do wina sfermentowanego jest zagadnieniem obszernym i ciekawym samym dla siebie.

² Porównaj: Rafał Nowak *Stary Testament, Nowy Testament oraz Testament dany z Krzyża*. „Praca nad sobą” zeszyt 56 s.12.

³ porównaj: brat Paweł *Chleb - postać eucharystyczna*, „Praca nad sobą” zeszyt 56, s.1.



Z przedstawionych nam problemów

CZY BRAK PROROKÓW?

Choć w czasach studenckich bywałam czasem i na wykładach teologicznych, teologiem nie jestem. Mimo to, zachęciło mnie wezwanie Redakcji do wyjaśniania pojedynczych problemów przedstawionych przez małżeństwo Habdank-Wojewódzkich, w zeszycie 55. „Pracy” (s. 18) i chciałabym wyrazić mój pogląd na ich narzekanie: *„Nie widać ani proroków, ani jasnowidzów, ani szczególnych i uznanych cudotwórców, również nie ma wielkich przywódców duchowych”*.

Mnie się wydaje, że to zupełnie nieprawda. Weźmy pod uwagę wiek XX. Przed jego rozpoczęciem i w pierwszych dziesięcioleciach tego wieku działała i uczyła przeciw święta Maria Franciszka Kozłowska - nasza Mateczka. Była ona równie nie lubiana i nawet nienawidzona przez wielu jak biblijni prorocy, a co przepowiedziała? Przepowiedziała, że w wieku XX duchowieństwo straci moc komenderowania wiernymi, że wyznawcy Kościoła nie będą słuchać swoich księży, że księża będą musieli tylko doprowadzać wiernych do Chrystusa i (tymczasem) sprawować sakramenty, bo inaczej staną się w ogóle niepotrzebni, że trzeba wśród zwykłych ludzi szerzyć praktyki mistyczne, zwłaszcza medytacje, rozmyślenia podczas adoracji Przenajświętszego Sakramentu. A tłumaczyła też, że Bóg daje ludziom Dzieło Miłosierdzia, to znaczy zaleca zaniechać noszenia włosiennic, biczowań, ciężkich postów, a zamiast tego każe ćwiczyć wewnętrzne zaufanie w miłość Bożą dla wszystkich i miłosierdzie Boże dla grzeszników, nawet największych. I jeszcze się nie skończył wiek XX a już

widzieliśmy, że się to wszystko sprawdza. Ja tego nie umiem tak dobrze swoimi słowami opisać, ale to właśnie mówią jej najważniejsze objawienia, które ogłosiła dla świata. W obecnym wieku XXI ludzie nawet swoim rozumem dochodzą, że tak musi być, ale wtedy mało kto w to uwierzył. A z mniejszych rzeczy to z wyprzedzeniem czterech lat zaleciła, aby się ludzie duchowo przygotowali do nadciągającej pierwszej wojny światowej, przepowiedziała zburzenie Warszawy, zapisała, że pierwszy przełożony mariawitów będzie męczennikiem, a było to wtedy kiedy ten, co miał potem zostać przełożonym był nieznanym, początkującym klerikiem. Słowem przepowiadała i wielkie epokowe zmiany i drobniejsze jednostkowe fakty. W Starym Testamencie Duch Święty „mówił przez proroków”, na przełomie wieków XIX i XX przemawiał przez jej osobę.

Albo weźmy Rudolfa Steinera austriackiego filozofa i badacza duchowego, który zraz po skończeniu pierwszej wojny światowej powiedział, że ludzkość powinna wszystkimi siłami nie dopuścić do wybuchu drugiej podobnej wojny, a jeśli nowa wojna światowa wybuchnie, to w końcu XX wieku zapanuje powszechny seksualizm, który ogarnie nawet przyzwoitych ludzi i którego się nie da zwalczyć. I czy to się nie sprawdziło? W latach 20 ubiegłego wieku opisał bardzo dokładnie pewnego rodzaju pajęczynę obdarzoną inteligencją różną od ludzkiej, która oplecie całą Ziemię. I rzeczywiście mamy teraz internet. I - co bardzo ważne - powiedział, że w XX wieku Chrystus stanie się widzialny dla wielu w swoim ciele uwielbionym (eterycznym)¹ i tak Go przecież widziała i siostra Maria Faustyna i dużo innych osób. Ten człowiek dał wiele wskazówek jak ludzie mają żyć. Można by o jego przewidywaniach pisać i pisać. Czy był on mniej ważnym od dawnych proroków?

A obok tak wielkich postaci istniały mniejsze osobistości obdarzone zdrowym jasnowidzeniem. Sama miałam w dzieciństwie okazję poznać mieszkającego pod Warszawą skromnego człowieka - Roberta Waltera. Utrzymywał się z

tworzenia receptur na perfumy i wody kwiatowe, a w niewielkim kręgu swoich znajomych był znany z tego, że obcuje z archaniołami, aniołami i duszami zmarłych. On ich nie ściągał w jakichś seansach spirytystycznych, ale - przeciwnie - odwiedzał je w ponadfizycznych regionach. Od nich wiedział i przepowiedział dokładnie kiedy Polska wyzwoli się od komunizmu. Gdy powstała „Solidarność”, od niego wiedział mój wujek, że do niepodległości to jeszcze prawie dziesięć lat. Mówił, że niezależnie od tego jaka partia będzie w Polsce rządziła, to Kościół Rzymskokatolicki dojdzie do wielkiej mocy zewnętrznej. Poszczególnym ludziom też wiele prawd powiedział. I to się wszystko sprawdziło.

To są najwybitniejsi ludzie o których coś wiem, a znam i kilka innych osób dziś żyjących, którzy mają rozwinięte zdolności jasnowidzenia, choć nie tak wybitne. Dlatego myślę, że małżeństwo Małgorzata i Seweryn mylą się pisząc, że dziś nie ma proroków ani jasnowidzów. Zastanawia mnie jednak, dlaczego oni tak uważają. Nie piszą tak bez powodu, bo przecież żyją w świecie, pisują do „Pracy nad sobą”, więc chyba ją czasami też czytają. Mogli nie słyszeć o Austriaku Steinerze, ale chyba zdarzyło się im wcześniej dowiedzieć czegoś o Mateczce i jej objawieniach danych na przełom epok... I tak sobie myślę, że oni sobie chyba wyobrażają, że prorok to taki, co chodzi po ulicy w poważnych szatach i ogłasza swoje orędzia chcącym i nie chcącym słuchać. Tak chyba wyglądali prorocy z ostatnich stuleci przed Chrystusem, ale przecież zupełnie inaczej działali hinduscy Wielcy Riszi przed tysiącletkami, inaczej pełnił swój urząd Zaratustra, gdy przepowiadał, że nadejdzie czas, gdy sam Bóg zstąpi na Ziemię, a jeszcze inaczej wyglądają dzisiejsi wielcy, mający widzenie przyszłości.

To ja tyle od siebie chciałam napisać. Zaczęłam też pisać, że się nie zgadzam z naszymi korespondentami, że stanęła ewolucja duchowa i że dziś nie ma wielkich przywódców duchowych ludzkości, ale jakoś mi to nie

wychodzi. Ja rozumiem, co piszę, ale nie wiem, czy inni by mnie zrozumieli. Więc wysłałam tylko tyle i jeśli Redakcja uzna, że to ma sens, to proszę zamieścić.

Dominika

¹ Ciało uwielbione nie jest dokładnie tym samym, co ciało eteryczne (przypisek redakcji)



Z regału teologów.

CYWILIZACJE POZAZIEMSKIE A RELIGIA CHRZEŚCIJAN

Różni ludzie i różne grupy ludzkie uwielbiające Jezusa Chrystusa określają się jako chrześcijańskie. Za chrześcijan mają się nieraz również ci, którzy Go uważają tylko za ideał człowieczeństwa, za największego, lub przynajmniej wielkiego nauczyciela ludzkości. Nie odmawiając im w ogóle prawa do tego tytułu tutaj się zajmę węższą klasą ludzi. Za chrześcijan będę uważał tych, którzy są przekonani, że ludzkie życie jest przeznaczone do wieczności i że przyszłe istnienie może się stać prawidłowe tylko przez przyjęcie skutków krzyżowej ofiary Chrystusa.

Pod cywilizacjami będę natomiast rozumiał istniejące grupy istot fizycznych samoświadomych, to znaczy obdarzonych jaźnią, a więc nie tylko posiadających inteligencję, ale mających możliwość kształtowania swojej indywidualnej osobowości w kierunku zamierzonym przez siebie samych, mówiąc inaczej - mających możliwość świadomej pracy nad sobą. Przyjmę też, co może dla kogoś być dyskusyjne, że samoświadoma jaźń jest cechą dusz stworzonych do nieśmiertelności.

Tak więc nie nazwę tu cywilizacją grupy nawet wysoko inteligentnych istot, których cechy osobiste zostały ukształtowane tylko

przez prawa przyrody i przyrodniczą ewolucję. Nie nazwę cywilizacją społeczności termitów, nawet gdyby owe termyty posługiwały się niezmiernie rozwiniętą techniką. Ograniczę rozważania do istot posiadających nieśmiertelne jądro bytu. Będę przy tym rozważał tylko istoty fizyczne, mające podobnie jak my materialne ciała. Pozostawię poza tymi rozważaniami społeczności duchów bezcielesnych. Ich społeczności też nie nazwę cywilizacjami. Nie interesuje nas teraz angelologia.

Powstaje od razu pytanie czy poza ziemską ludzką cywilizacją istnieją również cywilizacje pozaziemskie, słowem czy istnieje przedmiot, który zamierzam omówić, czy też temat jest zupełną fantazją. W tej dziedzinie trwa już od dawna wśród pracowników nauki zagorzała dyskusja. Może warto przytoczyć polemikę z ubiegłego wieku pomiędzy rosyjskim radioastronomem Josifem Szklowskim i Stanisławem Lemem. Szklowski, który ongiś był zapalonym uczestnikiem obserwacyjnych poszukiwań przejawów takich cywilizacji, zniechęcony brakiem jakichkolwiek wyników doszedł do przekonania, że wszystko cokolwiek obserwujemy w Kosmosie jest wynikiem wyłącznie działań przyrody. Nic nie wskazuje na jakąkolwiek świadomą działalność. Lem zaś wskazywał na to, że wszystko, co wymyśliła świadomość człowieka jest wykorzystaniem praw przyrody, więc skutki czynów ziemskiej, ludzkiej cywilizacji dla obserwatorów z Kosmosu przejawiałyby się też wyłącznie wynikami praw przyrody. Nie sposób nie przyznać słuszności Lemowi. Wyobraźmy sobie, że ktoś z Kosmosu bardzo precyzyjnie obserwowałby doświadczenie z bombą atomową przeprowadzone w czterdziestych latach ubiegłego wieku na atolu Bikini, nie widząc jednak działających przy tym ludzi. Taki obserwator stwierdziłby, że nagromadzenie w jednym miejscu dużej ilości pierwiastków promieniotwórczych doprowadziło zgodnie z prawami fizyki do wybuchu, że ten wybuch spowodował - w ścisłej zgodności z tymi prawami - pojawienie się w ziemskiej atmosferze „grzyba” i inne zjawiska towarzyszące i że wszystko to było całkowicie przyrodnicze. Oczywiście taki obserwator mógłby sobie postawić pytanie skąd się wzięło w jednym miejscu takie nagromadzenie substancji promieniotwórczych. Ale czy geolog zadaje sobie pytanie dlaczego akurat dany masywny samorodek złota znalazł się w danym miejscu? Czy astronom zadaje stawią pytanie dlaczego Fobos krąży właśnie koło Marsa a nie wokół Ceres? W nauce nie stawiamy nieskończonego łańcucha pytań „dlaczego”.

Jeszcze wyraźniej opowiedział o tym amerykański astronom Halton Arp na konferencji „Kosmos” w Wenecji w roku 1987. Zaproponował słuchaczom wyobrazić sobie, że mrówki są istotami świadomymi, że posiadają obszerną wiedzę fizyczną i obserwują bitwę w lesie, w którym jest ich mrowisko. Rozrywają się tam pociski artyleryjskie, czołgi walą drzewa. Dla nich, to wszystko jest procesem kosmicznym i mogą stwierdzić naukowo, że rozerwanie się pocisku artyleryjskiego odbywa się pod wpływem ciśnienia wewnętrznego wybuchu, że ruch czołgu odbywa się wskutek nacisku odpowiednich zębów na gąsienice. I tu wszystko jest

całkiem wytłumaczalne działaniem sił fizyki. Całość będzie dla nich pewnym procesem kosmicznym, przyrodniczym. Dlaczego się w lesie pojawiły czołgi i pociski artyleryjskie jest dla owych mrówek tak samo niedosiężnym pytaniem jak dla nas, skąd się w tym miejscu Wszechświata wzięła właśnie nasza Galaktyka.

Uznajmy, że niezależnie od tego jak będziemy taktowali przyczyny przeżyć ludzkich, określanych jako spotkanie z kosmitami, oraz co myślimy o wzorach rysowanych na łanach zbóż misternie wyginanymi kłosami, możemy przyjąć wprawdzie nie pewność, ale możliwość istnienia - poza naszą ziemską, ludzką - pozaziemskich cywilizacji, których działań po prostu nie potrafimy odróżnić od działań „czysto przyrodniczych”. Jest więc pewien sens zastanowić się nad problemem.

Dla takich religii jak hinduizm czy islam, ewentualne istnienie innych cywilizacji poza ludzką, ziemską nie stanowi właściwie żadnego problemu. Bóg stworzył co chciał, stworzył nas, mógł stworzyć i inne istoty fizyczne, podobne lub niepodobne do nas. Natomiast dla określonej na początku wiary chrześcijan pojawi się z miejsca pytanie o stosunek tych cywilizacji do ofiary Chrystusa.

Tu chciałbym zwrócić uwagę na miejsce w Nicejsko-Konstantynopolskim symbolu wiary, który jest uznawany przez większość chrześcijan, gdzie mowa jest o powodach wkroczenia Chrystusa w ludzką postać w ziemski świat. Powiedziane jest „dla nas - ludzi i dla naszego zbawienia”. Nie jedna przyczyna, ale dwie połączone spójnikiem ‘i’. Dawni teologowie byli bardzo precyzyjni w formułowaniu myśli. Gdyby przyczyna była jedna sformułowałiby ją inaczej. Na przykład „dla nas, aby nas zbawić”. Przyczyny są jednak dwie. Chrystus przyszedł dla nas, aby nas rozwinąć duchowo, aby nas wspomóc w rozwoju i - jak rozwijają to dalej teologowie wschodni - ta przyczyna była pierwotna, ustalona razem ze stworzeniem człowieka. Ale ludzkość weszła na fałszywą drogę. Nastąpiło to, co nazywamy w teologicznym skrócie „grzechem pierworodnym”, który nie pozwolił się człowieczeństwu rozwijać prostoliniowo w wiecznym życiu. Zaistniała więc potrzeba wybawienia ludzkości z kalectwa grzechu. I to się stało drugą przyczyną zstąpienia Chrystusa na Ziemię; zstąpił „dla naszego zbawienia”.

Istnieją różne możliwości, które mogą być zrealizowane w różnych miejscach Wszechświata. Może istnieć cywilizacja istot, które od początku nie zoczyły z prostej, wytkniętej drogi rozwoju. Chrystus jako ta Osoba Boża, która wobec istot samoświadomych występuje jako towarzysz, jako Ten, z którym można rozmawiać o sobie, mógł zstąpić do takich istot z pierwszej przyczyny. Zstąpił raz czy może zstępował wielokrotnie „dla nich”. Nie musi natomiast składać jakiejś ofiary za nich, nie istnieje tam bowiem druga przyczyna, nie musi przychodzić dla „ich zbawienia”. Ich dusze nie są chore, kalekie. Wystarczy, że im towarzyszy, wspiera, umacnia, obdarza łaskami. Gdy pomyślimy o możliwości istnienia tego rodzaju społeczności istot jaźniowych, nie czujemy żadnego napięcia

wyobrażając sobie, że mogą oni w wieloraki sposób w czasie fizycznego życia obcować z Chrystusem.

Możemy sobie też wyobrazić coś wręcz przeciwnego. Oto gdzieś we Wszechświecie istnieje tak wypaczona społeczność odchodząca coraz dalej od Boga, że nikt tam nie tęskni za zbawieniem. Istoty jaźniowe, istoty obdarzone wolną wolą, nie mogą być zbawione wbrew tej własnej woli. Tam nikt Boga nie pragnie i Chrystus tam nigdy nie przyjdzie. Również ten przypadek wydaje się nam przejrysty.

Najwięcej niepokoju sprawia przypadek trzeci, podobny do naszego, ziemskiego, gdzie spaczona cywilizacja pcha swych członków ku błędnym czynom, gdzie z prostej, wytyczonej drogi zbieżono na drogę prób i błędów, gdzie zapanowało zło, a jednak przynajmniej pewna liczba jednostek pragnie znaleźć się na właściwej drodze, pragnie zbawienia. Tam istnieją dwie przyczyny, dla których Chrystus mógłby zstąpić: „dla nich” i „dla ich zbawienia”. Czy dla każdej takiej cywilizacji Chrystus miałby ponieść ofiarę krzyża, lub inną, równoważną ziemskiej ofierze krzyżowej? Przejmuje to zgrozą. Każdy chrześcijanin gotów zawołać: nie, tak być nie może. Więc co?

A może ziemską ofiarę Chrystusa jest ważna dla wszystkich grzesznych istot we Wszechświecie? Może my, ziemscy ludzie mamy być misjonarzami wśród pozaziemskich cywilizacji? Ech, jak prowadzić misję jak wejść w kontakt z mieszkańcami odległymi od nas chociażby o dziesiątki lat światła, nie mówiąc o odległościach milionów i miliardów lat świetlnych?

Może jednak, nawet jeśli istnieją niezliczone cywilizacje we Wszechświecie, my jesteśmy jedyną która zszedłszy na moralne manowce zastała jednak odkupiona przez Syna Bożego? Może jesteśmy całkowitym wyjątkiem zawdzięczającym nasze możliwości zbawienia szczególnemu miłosierdziu Bożemu i Boskiej ofierze? To byłoby jeszcze najprostsze dla przyjęcia naszym rozumem.

A może zbieżenie gdzie indziej jest mniejsze i może dla zbawienia wystarcza tam inny czyn Chrystusa, nie wielka ofiara?

A może, jeśli cywilizacji takich jak nasza, na wpół złych, ale przejawiających przebyski dobrych chęci jest więcej, to Chrystus poniosł tylko jedną ofiarę, o której Apokalipsa (13:8) mówi we frazie o „...księgach żywota Baranka, który zabity jest od założenia świata”? Może ofiara Golgoty była tylko uobecnieniem owej prakosmicznej ofiary tu, na naszej Ziemi, zaś na innych planetach zachodziły lub zajdą inne jej uobecnienia? Słowem, że dzieje się coś podobnego jak rozpatrywane przez wielu teologów uobecnienie jednej ofiary Golgoty w każdej odprawianej liturgii mszalnej? Tego rodzaju ujęcie wywołuje niestety też wiele problemów teologicznych, których nie sposób tu rozpatrywać.

Widzimy, że istnienie cywilizacji pozaziemskich nie jest zasadniczo sprzeczne z wiarą chrześcijan, choć niektóre możliwości

wymagałyby dopracowania uzgodnień z istniejącymi pojęciami teologicznymi. Tymczasem jednak nie wiemy nic o owych innych cywilizacjach. Dopiero jeśli stwierdzimy, że one rzeczywiście istnieją, to poznawszy je, będziemy mogli nie tylko stwierdzić, czego możemy się o nich i od nich nauczyć ale również czy nasze chrześcijańskie poglądy wymagają jakichś głębszych zmian, czy tylko wzbogacenia.

brat Paweł

Nieco tylko odmienna wersja tej rozprawki ukazuje się jednocześnie w sprawozdaniach z konferencji „Astronomia - nauka i wiara” Częstochowa 26-28 - XI-2009



DWA AFORYZMY

Potrzeba wielkiej wiedzy szczegółowej, by móc wypowiadać sądy ogólne. Tej wiedzy nie ma wielu profanów chcących uchodzić za filozofów i roszczących sobie prawo do wypowiadania takich sądów.

Uciekamy w świat fantazji, aby urzeczywistnić teraźniejszość.

Honorata Korpikiewicz



TAJEMNICA TWA

*Tajemnica Twa
ciągle we mnie drga –
jak, nic...
pajęczna nić,
gdy rosa opada
lub mgła.*

*Tajemnica Twa
dźwięcznie we mnie gra –
jak, pieśń...
wciąż nowa pieśń,
inna
każdego dnia.*

*Tajemnica Twa
ciepłe światło ma
jak, świtem –
słońca blask,
o zmierzchu –
ognia żar.
Tajemnica Twa
cicha jest
jak, łąka*

*Tajemnica Twa
mocą we mnie trwa...*

8.08.2006

Aleksandra Rzońca .



TOŻSAMOŚĆ MARIAWITYZMU

Przyjaciel, który właśnie wertował dawne książki i czasopisma mariawickie, napisał mi, że ma wątpliwości, czy dzisiejszy mariawityzm jest tym samym mariawityzmem, jaki istniał przed stu laty. Gdy mu odpowiedziałem, że odpowiedź na to znajdzie w wielu artykułach - moich i innych autorów - w „Pracy nad sobą”, powiedział, że owszem, coś tam było, ale porozrzucane i chciałby ten temat mieć przedstawiony gruntownie i w jednym miejscu. Zamiast odpisać mu osobistym listem, piszę ten przyczynek do „Pracy”, bo może zainteresuje i innych czytelników.

Mariawityzm jest Bożym żywym tworem. Czy coś żywego może być cały czas takie samo? Weźmy pod uwagę inny, prostszy żywy twór. Ot - orzech włoski. Gdy mamy przed sobą dojrzały owoc orzecha, jest w nim zawarta całe drzewo w formie załączka. Załączek jest otulony materiałem dla zasilania go w pierwszych fazach rozwoju i skorupą. A na zewnątrz otulony mięsistą materią roślinną, która „wcale nie jest do niczego potrzebna”, a przecież póki całkiem nie zwiędnie należy do owocu. Jeśli owoc w odpowiednich warunkach umieścimy w ziemi, skorupa pęknie i pojawi się kietek nie podobny ani do owocu ani do dorosłego drzewa orzechowego. Potem kietek się przekształci w dość wiotką witekę z liśćmi, a wreszcie po przebyciu różnych form pośrednich wyrośnie z tego dorosłe drzewo orzecha włoskiego. A drzewo może wyrosnąć czasem dorodne i duże, czasem małe i liche, a jeśli warunki będzie miało ciężkie, może w ogóle zwyrodnąć. A jednak doświadczony sadownik rozpozna zawsze i w owocu i kietku i w pięknym dorodnym drzewie i w zmarniałym egzemplarzu, że to nie jest sosna, ani jabłoń ale orzech włoski.

Johann Wolfgang von Goethe, który był nie tylko poetą ale i wybitnym przyrodnikiem ujął to w ten sposób: dana roślina, na przykład orzech włoski, jest ideą. Idea może się „wcielać”

przejawiać w różny sposób w świecie materialnym. Dany egzemplarz rośliny w danej fazie rozwoju możemy opisać zewnątrznie: kształtem, barwami, zapachem... Ale żaden egzemplarz w jakiegokolwiek fazie nie reprezentuje całości idei danej rośliny. Żadna faza rozwoju nie reprezentuje całej idei orzecha. Idea orzecha włoskiego nie może być nigdy bezpośrednio dostępna dla zmysłów, choć każdy wytrawny sadownik postrzega ją wyraźnie w świecie myśli i umie jej przejaw zewnętrzny dostrzec w egzemplarzach istniejących na różnych etapach rozwoju i w różnych warunkach.

Mariawityzm, jako gość na Ziemi ze świata Bożych idei, ma pod niektórymi względami cechy rośliny. Oczywiście porównanie go z rośliną nie dotyczy jego całej treści, ale właśnie gdy pytamy o tożsamość, jest ono dość pożyteczne. To że mariawityzm jest ideą, nie ulega wątpliwości. Samo objawienie mówi wprawdzie o mariawitach, ale nie używa sformułowania „mariawityzm” lecz „Dzieło Wielkiego Miłosierdzia”, tym samym umieszczając je wśród wysokich idei Bożych.

Przypomnijmy niektóre z poszczególnych idei tworzących całość Dzieła Miłosierdzia, rozwiniętych przez lata w objawieniach zapisanych własnoręcznie przez Mateczkę: Szczególna cześć Przenajświętszego Sakramentu, naśladowanie życia Maryi, oparcie się na pierwszej regule świętego Franciszka, tej podyktowanej przez samego Chrystusa, zarzucenie umartwień zewnętrznych na rzecz ćwiczeń duchowych, zakaz aby kapłani komenderowali wiernymi, ustanie obecności Chrystusa w odprawianych bez właściwego szacunku - choć prawidłowych formalnie - obrzędach mszalnych...

I tu od razu zapytajmy, czy mariawityzm z początków swego istnienia przejawiał na zewnątrz te wszystkie idee? Oczywiście nie, choćby dlatego, że niektóre z nich zostały objawione dopiero w roku 1918. Poza tym w Kościele Rzymskokatolickim obowiązywała reguła franciszkańska ułożona przez ojca Eliasza, która w roku 1223 zastąpiła pierwszą regułę z roku 1209/10 podyktowaną przez Zbawiciela świętemu Franciszkowi. Ba, tu ktoś mógłby nawet postawić pytanie, czy mariawityzm z lat 1893-1906 w ogóle był już mariawityzmem, skoro nie uzewnętrzniał wszystkich idei Dzieła Wielkiego Miłosierdzia.

Odpowiem: oczywiście był jak najprawdziwszym mariawityzmem, ale w formie zarodka. Gdy dnia 2. sierpnia 1893 roku Mateczka doznała pierwszego objawienia Dzieła Miłosierdzia i tylko sama przyjęła je do swojej duszy, było ono jeszcze tylko ideą. Gdy w dniu 15. sierpnia został przyjęty do Zgromadzenia ojciec Franciszek, tych dwoje stanowiło już pierwszą mariawicką społeczność, a więc zewnątrznie istniejący w świecie zarodek mariawityzmu, który potem przez dołączanie nowych osób dojrzewał w twardej skorupie XIX-wiecznego katolickiego tradycjonalizmu. Ograniczony był sztywnymi przepisami praw kościelnych, przepisami postnymi, tradycjami pokutniczymi (dyscypliny, włosienice), prawem wzajemnych ścisłych zwierzchnictw...

Skorupa pękła w roku 1906 i ukazał się kieltek. Kieltek, silny, ale z początku blady, zazieleniał, gdy mariawici zdecydowali wprowadzić do liturgii języki narodowe: polski, litewski - pierwsze oznaki samodzielnego życia mariawickiego. Dopóki trwały objawienia Mateczka wstrzymywała wprowadzanie dalszych nowości. Wpierw trzeba się była zapoznać z całością objawień. Ponadto wąta z początku witka rośliny, w pierw się musi wzmocnić zanim się na niej uformują konary. Ale już za życia Mateczki wprowadzono praktyczne modyfikacje do tradycjonalnych jeszcze w swojej naturze *Ustaw* (na przykład dopuszczenie sióstr czynnych do funkcji zastrzeżonych dawniej tylko dla bogomyślnych). Dopiero po śmierci Mateczki, po ustaniu podstawowych objawień, nastąpił rozrost drzewa. Coraz to nowe elementy Dzieła Miłosierdzia zostawały wcielane w życie: zniesienie formalnych przepisów postnych, ograniczenie nawet postu eucharystycznego (dawniej obowiązującego od północy), przywrócenie pewnych elementów pierwszej reguły franciszkańskiej (matżeństwa zakonne), uniezależnienie wiernych od rozkazów duchowieństwa (zniesienie obowiązku spowiedzi usznej) i tym podobne. Niektórzy twierdzą nawet, że wzrost był zbyt szybki. Ustał przez nagłe uderzenie pioruna w roku 1935. Wzrastające drzewo mariawityzmu zostało rozłupane na dwie części. Przestało wzrastać. Stwierdzam tylko fakt: żywotność mariawityzmu została zahamowana. Nie zamierzam się teraz zastanawiać nad przyczynami, ani szukać winnych. Zostawiam to na inny czas.

Ale drzewo mariawityzmu - jak się okazało - posiada własność wspólną z nielicznymi tylko drzewami, a to taką, że wstawione w głębię odłamane jego części potrafią rosnąć i żyć. Nie

tylko dwa główne odłamy żyją, ale odłamane wiatrami dziejowymi ich gałązki zielenią się w Niemczech, Szwecji, Brazylii, Paragwaju, Kamerunie, Stanach Zjednoczonych... Są wśród nich krępe i mocne, są wątłe cienkie witki, są marne, zabiedzone krzaki, ale te, z którymi dane mi się było zetknąć, wszystkie są jakimś węższym lub obszerniejszym zewnętrznym przejawem Dzieła Miłosierdzia. Niektórzy twierdzą, że wśród tych „sadzonek” mariawityzmu niektóre zupełnie zwyrodniały. To też możliwe.

Jaki z tego wniosek? Mariawityzm traktujmy jako wysoką ideę Dzieła Wielkiego Miłosierdzia. Starajmy się dostrzegać jej elementy nie tylko w najbliższej nam mariawickiej organizacji ale i w organizacjach innych, a przede wszystkim starajmy się tak kształtować nasze życie, aby ono było wyrazem Bożej idei Dzieła. I nie przywiązujemy się do chwilowej jego postaci, obecnej postaci „naszego Kościoła”, albo do tej zapamiętanej z dzieciństwa, czy odtworzonej z literatury. Patrzymy w przyszłość, którą możemy kształtować, a nie w przeszłość która nie powróci. Z przeszłości czerpmy tylko doświadczenie.

Jesteśmy wszyscy sadownikami mariawityzmu. Pielęgnujmy, podlewajmy, otulajmy przed mrozem, chrońmy korzenie przed szkodliwymi chemikaliami. A nade wszystko nie prosimy Boga, żeby się zamiast nas opiekował Dziełem, lecz zakaszmy rękawy i raczej prosimy, aby skutecznie pomagał naszej pracy. Bóg pomaga tym, co sami chcą sobie pomóc.

* * *

Byłem z małym chłopcem na uroczystym nabożeństwie u mariawitów niemieckich. Po nabożeństwie rozczarowany chłopiec powiedział: Myślałem, że oni będą śpiewać po niemiecku, ale na te same melodie, co u nas. A oni w ogóle śpiewali inne pieśni...

Tak, mariawityzm i pod względem historycznym i geograficznym ma wiele postaci. W przyszłości będzie miał jeszcze inne nie przestając być tym samym mariawityzmem.

Brat Paweł



ROZTERKI OJCA ZENONA M. SZYMONA KWIEKA

próba rekonstrukcji

W zasobach archiwum Archidiecezji Lubelskiej znajdują się dwie okazałe teczki zatytułowane "Akta o sekcje Maryawitów". Z ich pomocą można odtworzyć przebieg wielu istotnych, czasem dramatycznych wydarzeń z okresu formowania się mariawityzmu na Podlasiu i Lubelszczyźnie. Pośród wielu setek stron dokumentów znajduje się ledwie kilka bezpośrednio odnoszących się do księdza Zenona Kwieka, absolwenta petersburskiej Akademii Duchownej, gorliwego kapłana, przed którym - jak uważano - otwierała się znakomita kariera duchowna z sakrą biskupią w tle.

W dostępnych publikacjach jego postać zaledwie przemyka w tle głównego nurtu wydarzeń. Był jednym z tych kapłanów, którzy w chwili próby, odstąpili od *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia* porzucając Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów. Choć ilość dokumentów jego dotyczących jest skąpa, to jednak warta uwagi, gdyż zapisany jest na nich dramat kapłana, który do końca z determinacją (by nie rzec desperacją) bronił mariawickiej formuły pracy duszpasterskiej i samodoskonalenia duchowego. Dramatu wyboru, który był udziałem wszystkich Mariawitów w roku 1906.

Co się stało? Dlaczego, będąc przeświadczony o słuszności celu, ku któremu wiodła mariawicka droga, porzucił ją; ze strachu, dla kariery, a może z konformizmu? Czy do porzucenia mariawityzmu skłonił go szacunek dla arcypasterza, jego surowy nakaz, czy może był to raczej lęk przed

opuszczeniem Kościoła Rzymskiego "poza którym nie ma zbawienia"? I czy była to słabość, chwilowe zwątpienie, lęk o własną przyszłość, czy też przemyślana decyzja?



Zenon Tymoteusz Kwiek¹ urodził się 15.IV.1868. w Sokółowie Podlaskim (w rodzinie szewca Szymona Kwieka) W latach 1879 - 1884 uczęszczał do siedleckiego progimnazjum wyróżniając się zdolnościami i pilnością. Czując powołanie do Służby Bożej wstąpił do lubelskiego seminarium duchownego (1885 - 1888) i był alumnem zaiste wzorcowym, jedynie z języka rosyjskiego miał ocenę dobrą, pozostałe - bardzo dobre.²

W roku 1888, w uznaniu zalet umysłu i mocy ducha ksiądz Zenon został wysłany do Rzymskokatolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu. Po jej ukończeniu (8.07.1891) przez kilka lat *pro forma* pełnił funkcję wikarego w kilku parafiach. *Pro forma*, bo proboszczowie nie mieli w nim wyręki, gdyż na kolejnych aktach nominacyjnych jest adnotacja: *bez obowiązku mieszkania w parafii, ale z prawem do beneficjów, przywilejów i godności związanych z tą funkcją*.³ Owo szczególne usytuowanie było formą finansowej gratyfikacji (dodatkowej?) za pracę wykładowcy (profesora) seminaryjnego, które to obowiązki ksiądz Kwiek wykonywał od 8.X.1892.

Poznawszy *Dzieło Wielkiego Miłosierdzia* za sprawą seminaryjnego kolegi ojca Romana (M. Jakuba) Próchniewskiego, wstąpił do Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów (1896) przyjmując imiona Maria Szymon. Dość szybko stał się on czołowym krzewicielem mariawickiej duchowości - głównie wśród seminarzystów.

Biskup Franciszek Jaczewski wiele wiedział o rozrastającym się środowisku gorliwych kapłanów z jednym wszak wyjątkiem - nie znał on roli i objawień M. Franciszki Kozłowskiej. Można założyć, że hierarcha akceptował (jak

zapewne sądził) spontaniczny ruch odnowy duchowej kleru, bo nie zachował się żaden dokument, bądź jego wypowiedź krytyczna wobec mariawityzmu i jego propagatorów.

W początku roku 1903 delegaci Zgromadzenia złożyli biskupowi Jaczewskiemu tekst objawień Założycielki wraz z prośbą o zatwierdzenie ich wspólnoty. Ujawniając się nie tyle go zaskoczyli, co speszyli i skonsternowali, albowiem wnoszona petycja naruszała prawo rosyjskie grożące surowymi karami organizatorom nowych konwentów zakonnych oraz tym, którzy wiedząc o istnieniu takowych, nie powiadomili władz zaborczych. Być może lęk przed konsekwencjami spowodował, że hierarcha wysłuchał delegatów mariawickich, ale żadnych dokumentów od nich nie przyjął.

Tuż przed ogłoszeniem encykliki Piusa X nakazującej mariawitom odstępianie od *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia* i bezwarunkowy powrót do posłuszeństwa biskupom pod groźbą popadnięcia w ekskomunikę (5.04.1906), biskup Jaczewski powołał komisję konsystorską. Przed nią w dniu 6.03.1906 stawili się lubelscy księża Mariawici, aby pod przysięgą, wyznaczyć, czy są gotowi wykonać dekret (z 4.09.1904) zakazujący działania ich Zgromadzenia.⁴

Zanim jednak ojciec M. Szymon został wezwany przed konsystorską komisję, z własnej woli, uwiadomił ordynariusza o swych związkach z Mariawitami. Nie można wykluczyć, że uczynił tak, mając nieoficjalne informacje, że biskup sposobi się do podjęcia stanowczych kroków porządkujących sytuację w diecezji. W układnym liście, wielokrotnie podkreślając swą lojalność wobec arcybiskupa, młody kapłan podjął próbę obrony swej "mariawickości" oraz czystości i szlachetności intencji Zgromadzenia.

Gdy Dekret Kongregacji Świętego Oficjum - pisał ksiądz Kwiek - wydany w roku 1904 rozwiązujący organizację został mi zakomunikowany uznałem Zgromadzenie za rozwiązane, a siebie zwolnionego ze ślubów, które w tym Zgromadzeniu złożyłem. Ponieważ wszakże powyższy Dekret wcale nie dotyczył zasad życia prywatnego Maryawitów, a sumienie mnie mówiło, że same te zasady nic złego, ani nagannego w sobie

nie zawierają, owszem, zachęcają do życia doskonalszego i zabezpieczają od różnych zboczeń w życiu kapłańskim, postanowiłem, nie będąc już członkiem Zgromadzenia, te zasady w swoim prywatnym życiu praktykować. Od tej pory między członkami Zgromadzenia ustały wszelkie stosunki z Ustaw Zgromadzenia płynące, pozostał jednak związek przyjacielski wynikły z kilkuletniej znajomości.⁵

Najwidoczniej ta deklaracja nie zyskała biskupiego uznania, bo krótko po jej złożeniu ojciec M. Szymon został pozbawiony prawa wykładania w seminarium.

Mariawitom wezwanym przed komisję zadano jedenaście identycznych pytań. Po odczytaniu udzielonych odpowiedzi indagowany i indagujący podpisywali protokół.

Księdza Kwieka przesłuchano jako pierwszego. Ponownie wyznał, że znał treść dekretu papieskiego, a naruszył go tylko raz - kilka dni przed przesłuchaniem był w Płocku, by się zobaczyć z p. Kozłowską, aby wobec zamieszek w innych diecezjach w sprawie Maryawitów dowiedzieć się jak rzeczy stoją i mieć w tym dyrektywę co ma dalej czynić sam.

Spytany, czy rozkazy przełożonych Zgromadzenia jest gotów wykonywać nawet wtedy, kiedy te będą się wręcz sprzeciwiały woli i zakazowi Władzy Diecezjalnej i to nie tylko dotyczące osoby Księdza, ale nawet czynności, które na mocy święcenia i urzędu swego wykonywałaś?, odparł:

- Postępowałem i gotów jestem postępować na przyszłość według 10 paragrafu Konstytucji Maryawickich, gdzie jest polecenie zupełne posłuszeństwo władzy diecezjalnej w sprawach do tej władzy należących, z zachowaniem praktycznym dewizy o nic nie prosić i od niczego się nie wymawiać.

W dalszej części zeznania zganiał decyzję mariawitów z diecezji płockiej i lubelskiej o wypowiedzeniu posłuszeństwa biskupom. Deklarując wolę pełnego podporządkowania się poleceniom biskupa i treści papieskiego dekretu oraz uznając Zgromadzenie za rozwiązane, zastrzegł jednak: *miałem prywatną wiadomość z Rzymu, że Dekret ten odnosił się tylko do diecezji płockiej, gdyby wiadomość ta się potwierdziła jako*

autentyczna, powyższe zdanie bym cofnął. To jest uważałbym, że ten Dekret mnie nie obowiązuje i że jako taki mógłbym praktycznie żyć dalej w Zgromadzeniu.

Przesłuchanie sprawiło wielką przykrość młodemu kapłanowi. Odebrał je jako niczym nie uprawnione badanie jego prawowierności w sferze nauczania i dyscypliny kościelnej, choć - jak to określił - *ani w swoim postępowaniem, ani nauczaniem innych do takiego podejrzenia powodów nie dałem.* Jego rozgoryczenia nie ukoił nawet fakt, że biskup Jaczewski (w obecności członków komisji) niczego mu nie zarzucił *pod względem postępowania i w ogóle całego postępowania.*⁶ Zapamiętajmy to zdanie...

Bezpośrednim powodem napisania przywołanych słów do biskupa Jaczewskiego było ponowne wezwanie młodego kapłana do kurii (14.06.1906) w celu podpisania specjalnej deklaracji. Jednak nie zastosował się on do polecenia.

Po głębszym zastanowieniu się przyszedłem do przekonania, że deklaracji tej podpisać nie mogę, a to z tego powodu, że deklaracje w podobnym rodzaju, nie raz w Kościele używane, zawsze miały charakter publicznego odwołania swoich błędów, do których ja się nie poczuwam, i były objawem szczerzej chęci powrotu na właściwą drogę, z której - jak mi sumienie mówi - wcale nie zboczyłem. Dokument taki zawsze widocznie świadczy, że podpisujący go nie stosował się przedtem do punktów w deklaracji zawartych, a przed deklaracją okazał akt skruchy i pragnienie naprawienia zgrzeszenia przedtem wywołanego.

Tym więcej nie jestem w możności zgodzić się na podpisanie żądanej ode mnie deklaracji, że usunięcie mnie od obowiązków profesora seminarium, następnie kilkukrotne wzywianie do tłumaczenia się w Konsystorzcu wytworzyły już w opinii publicznej przekonanie, że jestem winowajcą istotnie, a podpisanie deklaracji poczytano by za potwierdzenie tego i za akt mego nawrócenia się.

To oświadczenie dowodzi dużej odwagi (odmowa wykonania biskupiego rozkazu!), ale także zawiera - co jest istotniejsze - kolejną teologiczną ocenę mariawickich zasad,

które według ojca M. Szymona (pamiętajmy o braku zastrzeżeń ze strony ordynariusza) były zgodne z nauczaniem Kościoła i nie zawierały poglądów uprawniających określenie poglądów księży Mariawitów za heretyckie.

Peten żalu i boleści list zakończył następująco: *To jest ustalenie moje w tej sprawie, wyjaśnienie po złożeniu którego zupełnie zdaję się na sąd Waszej Ekscelencji ufając, że ten nie może wypaść dla mnie niekorzystnie, skoro nie mam przeciwko sobie żadnego jeszcze zarzutu sformułowanego.*

Sytuacja ta była symptomatyczna dla ogółu kapłanów Mariawitów - wszyscy bowiem musieli określić się wobec dwu zasadniczych kwestii: łączności kanonicznej z biskupami i zachowania się w sytuacji potępienia mariawityzmu.

Jedność z biskupami konstytuowała zdolność kapłanów do pełnienia funkcji duszpasterzy i szafarzy sakramentów. Zerwanie tej jedności pod znakiem zapytania stawiało zarówno ich kapłańską wiarygodność, jak i możliwość realizacji charyzmatu Zgromadzenia: upowszechniania praktyki częstego korzystania z sakramentu pokuty i przystępowania do Stołu Pańskiego. Stąd tak czasem skrajne postawy mariawitów wobec wypowiedzania posłuszeństwa biskupom. Nie wszyscy akceptowali takie rozwiązanie. Czując się związani ślubami zakonnymi, chcieli żyć po "mariawicku", ale trudno im było wyobrazić siebie, jako kapłanów będących w opozycji do swych biskupów utożsamiających przecież powagę Stolicy Apostolskiej.

Zastrzeżenia ks. Kwieka odzwierciedlają też poczucie krzywdy pierwszych Mariawitów, którzy nie widząc nic złego w obranej drodze, nie rozumieli dlaczego polscy biskupi i watykańscy kurialiści ją potępiali. Nie pojmowali przyczyn, dla których pożyteczna dla nich sama, środowiska kapłańskiego i wiernych, ideologia zamiast zyskać pasterskie błogostawieństwo została uznana za wrogą Kościołowi. Dlaczego w imię posłuszeństwa (bo przecież nie przekonywujących argumentów teologicznych) mają się wyrzec mariawickiej drogi doskonalenia. Nic dziwnego, że (nie bez

powodu) niechęć watykańskich urzędników powszechnie tłumaczono sekretną zakulisową grą polskich biskupów. W tym przekonaniu Mariawitów upewniały słowa i czyny wroga do nich nastawionego biskupa Jerzego Szembeka.

Swoją wagę ma także deklaracja księdza Kwieka o chęci powrotu do Zgromadzenia, jeśli zyskałoby ono papieską akceptację. To kolejny, pośredni, dowód na to, że nie widział on w mariawityzmie nic przeciwnego zasadom katolicyzmu.

Nie znamy reakcji biskupa na obszernie przytoczony list, ale można założyć, że jego treść nie tylko nie przekonała go do racji księdza Kwieka, ale jakimś sposobem (perswazją, rozkazem, groźbą?) nakłonił go do zmiany (skądinąd zasadnej) postawy. Oto bowiem, nieoczekiwanie, pojawiła się w obiegu *Odezwa do Księży Maryawitów* (28.08.1906) sygnowana przez księdza Zenona. Jej treść i forma stała w jaskrawej opozycji do determinacji z jaką duchowny bronił swych przekonań. Ta sytuacja nakazuje się zastanowić nad tym, czy publikacja była owocem jego wewnętrznej przemiany, czy też została napisana pod presją, jako część pokuty nałożonej przez biskupa Jaczewskiego na kapłana Mariawitę za jego upór i opór...

Odezwa jest apelem skierowanym do kleru o ściśle wypełnianie ślubu posłuszeństwa biskupom, by przez to trwać w jedności ze Stolicą Apostolską. Ksiądz Kwiek między innymi pisał:

Powiedzcie, gdyby wam przed przystąpieniem do Zgromadzenia Maryawitów ktoś przedstawił zalety tego Zgromadzenia, a jednocześnie jako warunek postawił nieposłuszeństwo biskupom i Ojcu Świętemu, czyż bez wahania nie odrzucilibyście takiej propozycji? Dlaczegoż dzisiaj to nieposłuszeństwo uważacie za godziwe i uprawnione?

Natomiast zupełnie nowym wątkiem jest poddanie w wątpliwość nadprzyrodzonego źródła *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia*.

Mówicie, że sam Bóg przez osobiste objawienia do tego kroku upoważnił. Na czym to potwierdzenie opieracie? Wszak wiecie, że misja Boża nadzwyczajna musi być koniecznie

poparta dowodami nadprzyrodzonymi dla ogółu ludzi zrozumiałymi, a do takich dowodów w pierwszym rządzie należą cuda. Bywały wprawdzie, jak historia świadczy, i prywatne objawienia, które nawet zyskały uznanie Kościoła, chociaż nie były poparte cudami, lecz te objawienia szły zawsze ręką w rękę z nauką Kościoła, gdy tymczasem to, co Wy teraz czynicie opierając się jakoby na takich bezpośrednich oświeceniach, wywraca w wielu razach uświęconą wiekami karność kościelną i wprowadza w zakres dogmatów nowe twierdzenia dotąd Kościołowi nie znane i przez ten Kościół nie zaaprobowane. Czy zapomnieliście słów św. Pawła: <<Choćby anioły z nieba przepowiadały wam, mimo to cośmy wam przepowiedzieli niech będzie przekleństwem...>> (do Gal. 1, 8). Na jakiej podstawie żądacie, aby świat katolicki uchylił głowę przed nauką przez was głoszoną bez żadnych na to dowodów, że ona od Boga pochodzi, gdy sami nie chcecie się poddać powadze Sternika Łodzi Piotrowej, któremu sam Chrystus Pan zlecił straż i opiekę nad całością i czystością swojej nauki?

Zwraca uwagę wątek sugerujący Mariawitom, że ich współbrat zweryfikował swój pogląd co do prawdziwości objawień Marii Franciszki. I można byłoby nawet przyjąć tę krytyczną postawę za wynik głębszej analizy, gdyby nie to, że autor ocenia ich prawdziwości nie przez argumenty z zakresu teologii mistycznej, lecz wyłącznie poprzez kontekst karności kościelnej - kategorię głęboko wątpliwą, jako narzędzie oceny treści i sposobu manifestowania się Woli Bożej. Sytuacja ta umacnia przekonanie, że *Odezwa* powstała na polecenie biskupa Jaczewskiego.

W jednej z biografii ojca Rafała Kalinowskiego znajdują się dwa fragmenty dotyczące księdza Kwieka.⁷ Pierwszy, potwierdza opinię księdza Kwieka, że biskup Jaczewski nie wskazał mu błędów doktrynalnych, których dopuścił się praktykując zasady mariawityzmu.

Mariawici zaufali jedynie własnemu rozumowi, przeciwstawiali się własnemu biskupom i papież ich potępił. Ten, o którym wyżej była mowa, najpierw został pochwalony przez

swego biskupa, później został zganiony i pozbawiony urzędu w Seminarium oraz skazany na miesiąc pokuty.

Drugi, ważniejszy, będąc opisem stanu ducha księdza Kwieka, potwierdza przypuszczenie, że pisząc *Odezwę* był on w stanie "duchowej schizofrenii": wypełniając nakaz biskupa, zadał gwałt "mariawickiej duszy".

W końcu [...] poddał się [woli biskupa - przypisek K.M.], ale w duszy jego pozostało wiele niepokoju i zamieszania. Cierpiał bardzo; nie wiedział komu zaufać, zwierzyć się i gdzie szukać ulgi i pociechy. Jego kariera została zniszczona. Odwiedził nas w sierpniu 1906, rok przed śmiercią naszego Ojca Rafała. [...] W czasie rozmowy wspomnieliśmy mu o Ojcu Rafale, zachęcając go, aby otworzył przed nim swoją duszę. Uczynił to, a nawet spowiadał się u niego w naszej kaplicy. [...] Potem powiedział nam, że bardzo utrudził naszego O. Rafała, ale w końcu poddał się i teraz rozumie, że był w błędzie, gotów jest powrócić do swej diecezji, przyznać się do błędu i prosić o przebaczenie.

Słowa, że w jego duszy "pozostało wiele niepokoju i zamieszania" dobitnie świadczą, że młody kapłan bynajmniej nie uznał racji biskupa - i jeśli ugiął się, to nie przed siłą argumentów ordynariusza, lecz tylko przed siłą, a *Odezwę* napisał na rozkaz, sprzeniewierzając się własnemu sumieniu.

Wzmianka o "utrudzeniu" spowiednika dobitnie podkreśla głębię i zakres wątpliwości targających ojcem M. Szymonem. Można - bez obawy popełnienia błędu - założyć, iż ojciec Rafał nakłonił swego penitenta do porzucenia mariawityzmu odwołując się głównie do traktowanego jak dogmat przekonania o jedynobawczości Kościoła Rzymskiego, którego odstąpienie wiązało się z potępieniem wiecznym. Trudno bowiem założyć, że galicyjski karmelita miał na tyle dużą wiedzę, bądź wyrobiony pogląd na temat zasad Zgromadzenia, a tym bardziej objawień Marii Franciszki, by dokonując ich teologicznej analizy (w konfesjonale!), wykazać księdzu Kwiekowi ich sprzeczność z Magisterium.

Rozterki kapłana Zenona Marii Szymona Kwieka nie były czymś szczególnym i bez wątplenia wszyscy Mariawici zmagali się z nimi. Musieli wybrać zgodnie z duchowym przekonaniem swą drogę kapłańską; jedni wytrwali przy *Dziele Wielkiego Miłosierdzia*, inni (z różnych motywacji) odstąpili. Każdą z tych decyzji należy uszanować...

*

Ksiądz Zenon Kwiek po pokajaniu się i odbyciu naznaczonej pokuty wrócił na stanowisko profesora seminarium. Po kilku latach (1914) kapituła lubelska powierzyła mu funkcję administratora diecezji, z której wywiązał się doskonale. Nawiązując współpracę z archidiecezją warszawską uzyskał dla swej diecezji oleje święte, których - z braku biskupa - w Lublinie nie było.

Interesujące byłoby ustalenie, czy i jaki udział miał ksiądz Zenon Kwiek w podjęciu przez austriackiego generałgubernatora Lublina majora Stanisława S. Szeptyckiego decyzji o zamknięciu kościołów mariawickich (1915-1917). Formalnym jej powodem był fakt, że Kościół mariawicki nie był wspólnotą tolerowaną w cesarstwie austriackim. Skądinąd wiadomo, że administrujący wówczas diecezją ksiądz Kwiek był w dużej zażyłości z okupacyjnymi władzami austriackimi. Co ważne, decyzję majora Szeptyckiego skrytykował generał Hans von Beseler, generalny gubernator w Królestwie Polskim (1915 - 1918).

Papież dopiero w roku 1918 wyznaczył ordynariusza lubelskiego - został nim wywodzący się z diecezji włocławskiej biskup Marian L. Fulman. On to powołał księdza Zenona Kwieka na regensa seminarium (18.I.1919), zaś Benedykt XV nadał mu godność protonotariusza apostolskiego (26.III.1919). Z czasem wyróżniono go zaledwie tytułem infułata oraz archidiakona kapituły. I choć wyróżniał się wielką gorliwością kapłańską oraz nadprzeciętną wiedzą nie osiągnął wyżyn kariery duchownej, jaką mu wróżono przed

1906 rokiem. Zapewne rację ma pamiętnikarz, który twierdzi, że był osobowością nietuzinkową. *Watykan nie wybaczył i jemu, i bratu wydatnego udziału w pierwszym stadium buntu - nie miano do nich zaufania.*⁸

Ksiądz infułata Zenon Kwiek zmarł 15.II.1949 w Lublinie, przy ulicy Chmielnej (jako spowiednik karmelitanek) w wieku 81 lat i 57 roku kapłaństwa. Wraz z bratem spoczywa na cmentarzu przy ulicy Lipowej.

Krzysztof Mazur

¹ na podst. teczki osobowej ks. Z. Kwieka (syg.II Bk.116) [w:] Archiwum Archidiecezji Lubelskiej (dalej AAL)

² W tym samym seminarium (od 1880) uczył się jego starszy brat - Ludwik (ur. 7.XII.1864), następnie (od 1884) był alumnem Akademii Duchownej; 15.VI.1888 otrzymał stopień magistra teologii (ros.: *magistr bogostowia*), [odpowiednik obecnego, polskiego stopnia doktorskiego - uwaga redakcji]. Posługę duchowną rozpoczął jako wikary w Markuszowie. Od 2.IX.1890 pełnił funkcję sekretarza konsystorskiego, od maja 1914 był kanonikiem kapituły i regensem seminarium lubelskiego. [za: teczka osobowa syg. II Bk.105, [w:] AAL]

³ Podobne klauzule znajdują się w aktach nominacyjnych ks. Ludwika Kwieka (starszego brata Zenona) i ks. Romana Próchniewskiego.

⁴ W tym dniu przesłuchano księży: Zenona Kwieka, Tomasza Krakiewicza, Józefa Miłkowskiego, Jana Nowakowskiego, Romana Żmudzkiego, którym zadano jedenaście jednakowo brzmiących pytań. [w:] teczka "Akta o sekcje Maryawitów" rep. 60 XIII, t.1, s. 118 - 125.

⁵ List ks. Z. Kwieka do bp. Jaczewskiego z dnia 16.03.1906. zatytułowany *Moich kilka słów wyjaśnienia w sprawie księży byłych Maryawitów* [w:] *Akta o sekcje Maryawitów*, t. 1, s.137-138

⁶ źródło cytatów - j.w.

⁷ Jean-Baptiste Bouchaud OCD, *Miłość za miłość. Życie zakonne św. Rafała Kalinowskiego*, cz.5, e-wyd.: www.mariateresa.ojczyzna.pl/Milosc-za-Milosc/Bouchaud-Kalinowski-5.htm; stan na 19.10.09; por. Czesław Gil OCD, *Ojciec Rafał Kalinowski*, Kraków 1984, s. 295

⁸ Leszek Radzikowski, *Motywy mariawickie w pamiętnikach Leszka Radzikowskiego* [w:] „Praca nas Sobą” zeszyt 16. s. 21. (2000).





Głosy o historii potępienia mariawitów

ZBLIŻANIE SIĘ DO PRAWDY

Ponieważ inny oczekujący na publikację głos w tej dyskusji został wycofany przez autora, poniższą wypowiedzią kończymy omawianie sprawy manipulacji w tekście objawień Mateczki. Gdyby jednak przysłano nam jakieś rozważania rzucające nowe światło na ten temat, chętnie je opublikujemy.

Redakcja

O CZYM ZAPOMNIAŁ BRAT PAWEŁ

Z zaciekawieniem czytałem rozważania brata Pawła oparte na badaniach archiwalnych księdza Seweryniaka, oraz krytykę tych rozważań, słowem całą dyskusję rozciągniętą na kilka ostatnich zeszytów „Pracy” i uważam, że zarówno skądinąd bardzo trafne przypuszczenie o podstępym zadziałaniu biskupa Szembeka (z pamiętników jego współczesnych widać, że taki sposób działania był w jego stylu) jak i podstawa tego przypuszczenia zawarta w faktach podanych przez Henryka Seweryniaka, a także przyczynki dyskutantów zapominają o jednej rzeczy: o tym, że w sprawach duchowych ważne są nie tylko fakty zewnętrzne, ale również, a raczej - ale przede wszystkim - ich duchowe tło, które jest formowane w światach wyższych przez hierarchie anielskie. Mamy tu do czynienia z rzymskim katolicyzmem, który przez mariawitów nieraz był - w pewnym okresie - traktowany, jako zimny, prawniczy, antyduchowy prąd religijny. Ja jestem daleki od takiego traktowania go. W świecie jest wielu - może i najwięcej - ludzi, którzy chcą być ślepo prowadzeni przez innych. Są to ludzie zbyt leniwi, aby myśleć samodzielnie, zbyt nieczuli, aby się móc kierować własnym sumieniem, zbyt słabi, aby być zdolnymi do własnych, poważnych impulsów woli. Tacy ludzie szukają wygodniej,

ustanej drogi. Czy krytycy katolickiej rzymskości woleliby naprawdę, aby ci ludzie działali poddawszy się materialistycznemu kierownictwu rewolucjonistów typu jeśli nie Pol Potów i Hitlerów, to Robespierów, Dzierżyńskich, Berii, a choćby i naszych najbardziej humanistycznie usposobionych PZPR-owców z niedalekiej przeszłości? Jeśli takich ludzi potrafi zagospodarować Kościół Rzymskokatolicki, jeśli potrafi ich zobligować do przyzwoitego zewnętrznego zachowania, do systematycznego wyznawania swoich grzechów przed kapłanem i formalnego choćby uczestnictwa w obrzędach kościelnych, to cieszymy się, że taka organizacja kościelna istnieje i skutecznie działa.

Mariawityzm jest dany dla ludzi rozwiniętych duchowo, mających silną wolę potrafiącą się zespolic z wolą Boga, mających rozwinięte ludzkie uczucia i potrafiących głęboko pojmować prawdę. Mariawityzm był od początku nie do pogodzenia z duchem rzymskości. Gdyby nie biskup Szembek, to w inny sposób zetknięcie żarliwości Dzieła Miłosierdzia z zimnym Prawem Kanonicznym musiałoby w końcu doprowadzić do konfliktów i rozstania tych dwóch diametralnie różnych duchowo prądów. Jeśli kto ma wątpliwości co do tego, to niech się przyjrzy, co zrobiono z Kościele Rzymskim z echem objawień Mateczki powtórzonych w objawieniach świętej Marii Faustyny. Tym razem nie wyklęto znów pukającego do drzwi Dzieła, lecz za to „oblaskawiono je”, w praktyce nadano mu treść i formę sprzeczną z jego założeniami. I chyba to jest słuszne. Rzymskość ma inne zadania wobec ludzkości niż Dzieło Wielkiego Miłosierdzia Bożego.

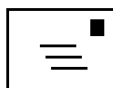
Chrystus nie winił Judasza o to, że zadziałał nie zwlekając; przeciwnie, sam zachęcił go do tego. I my nie winimy biskupa Szembeka za to, że przyspieszył proces rozstania mariawityzmu z rzymskością, choć ten czyn nie był korzystny dla jego duszy.

Nie mówię tu niczego nowego. Pierwszy minister generalny Mariawitów, ojciec Maria Michał Kowalski od chwili wyklęcia mariawitów głosił, że zbawionym można być również w Kościele Rzymskim. Do Dzieła Miłosierdzia zapraszał tych, którzy do tego dojrzel. Może nawet fakt, że jednak do mariawityzmu weszło nieco ludzi do niego niedojrzałych spowodowało wypadki, które wywołały tragedię roku 1935.

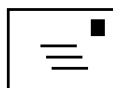
Wyjaśnianie zewnętrznych faktów historycznych mało nas zbliży do zrozumienia sedna prawdy. Hierarchie anielskie wykorzystują do swoich celów takich ludzi, jacy są. Najważniejszą

rolę odgrywają oczywiście jednostki wysoko rozwinięte, o których święty Jan mówi, że *nie ze krwi, ani z woli ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili* (Jan 1:13). Ale każdy człowiek może odegrać swoją rolę w postępie świata, również ci, którzy wykształcili nie najlepsze cechy we własnym rozwoju. Sądzę, że taką - w końcu pożyteczną - rolę odegrał Jerzy Szembek: Chciał zaszkodzić Dziełu Miłosierdzia, ale wbrew własnym chęciom, pomógł w jego umocnieniu się na Ziemi.

J.C.



LISTY DO REDAKCJI



JUŻ SIĘ ZBLIŻA GODÓW CZAS...

Wpłynął do nas list z takim wierszem:

Do Królestwa

*Już zbliża się godów czas,
Nad światem ręka Boża.
Błagajmy, by nie brakło nas,
Gdzie świta jasna zorza.
Aby Bóg nam zrozumieć dał
Królestwa swego cele,
By nasze serca Chrystus miał
W najświętszym swym Kościele
Bo już nadchodzi czas na gody Barankowe
Nadchodzi era nowa, nadchodzą czasy nowe.
Królestwo Boże przyjdzie tu,
Stolicą Polska będzie,
Więc cześć i hołd oddajmy Mu
W Najświętszym Sakramencie.*

Henryk Radecki

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Paweł – **Wino - postać eucharystyczna** – s. 1Honorata Korpikiewicz – **Dwa aforyzmy** – s.12Aleksandra Rzońca - **Tajemnica Twa** - s.13brat Paweł – **Tożsamość mariawityzmu** – s.14Krzysztof Mazur.- **Rozterki ojca Zenona M. Szymona Kwieka** -s.18

Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW

Dominika - **Czy brak proroków?** - s. 5

Z REGAŁU TEOLOGÓW

brat Paweł - **Cywilizacje pozaziemskie, a religia chrześcijan** – s.8

GŁOSY O HISTORII POTĘPIENIA MARIAWITÓW

ZBLIŻANIE SIĘ DO PRAWDY

L.C. - **O czym zapomniał brat Paweł** - s. 29

LISTY DO REDAKCJI:

Henryk Radecki - **Już się zbliżą godów czas - Do Królestwa** - s. 31

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: brat M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl oraz redaktorpracy@interia.pl Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów – 20 zł. Należność należy przesyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,55 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 5 kolejnych zeszytów pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 20 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.